



Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 85 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 7 Marek.

Rok XVII. Kraków, 24. lipca 1920. Nr. 30.

Częstochowa za pożyczką Odrodzenia









Fragmenty z pochodu agitacyjnego: 1) Wóz budownictwa. 2) Kupcy ze swym symbolem w czasie pochodu. 3) Parowóz skonstruowany przez kolejarzy. 4). Kilkunastotysięczny tłum w pochodzie.

ODDAJCIE BRON OJCZYZNIE!

W chwili, gdy Ojczyzna znajduje się w największem niebezpieczeństwie, obowiązkiem każdego obywatela jest pospieszyć jej z pomocą w miarę sił i możności.

Werbunek do armii ochotniczej postępuje raźno naprzód, daje się jednak odczuwać dotkliwy brak broni, której dowóz z zagranicy powstrzymali wrogowie nasi a przyjaciele bolszewików.

W tym krytycznym momencie zwraca się Ojczyzna do obywateli z gorącym apelem:

Oddajcie na potrzeby armii broń

której tyle leży bezużytecznie po Waszych domach!

Aby ułatwić zbiórkę broni, tworzą się w różnych dzielnicach filie, które w imieniu krakowskiego D. O. G. przyjmują broń wszelkiego rodzaju i amunicyę na rzecz naszej armii.

Jedną z nich jest lokal *Administracyi „Nowości illustrowanych“* ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Obywatele Nowej Wsi, Łobzowa, Czarnej Wsi i Krowodrzy zechcą tam łaskawie składać broń, która następnie odstawioną będzie do wojskowej zbrojowni.

Lokal otwarty codziennie od godziny 9 do 12 i od 3 do 6 popołudniu.

Nazwiska ofiarodawców będą ogłoszone w *„Nowościach Illustrowanych“*.

Spieszcie! Ojczyzna potrzebuje pomocy, a zdani jesteśmy na własne siły!

Częstochowa za pożyczką Odrodzenia.

(Do illustracyi tytułowej).

Propaganda na rzecz pożyczki Odrodzenia, której termin subskrypcyi przedłużono do końca sierpnia, aby dać sposobność wzięcia w niej udziału i tym, co się muszą długo nad tem namyślać, zorganizowaną została bardzo pomysłowo i powinna osiągnąć należyte rezultaty.

W warunkach, w jakich się dziś znajdujemy, zdani na swe własne siły i nie mogąc się oglądać na obcą pomoc, która, jak doświadczenie uczy, kończy się tylko na obietnicach, musimy dołożyć wszelkich starań, aby pokazać światu, że dobro naszej Ojczyzny leży nam na sercu, zwłaszcza, że nie jest to bynajmniej połączone dla nas z jakąś stratą materyalną, owszem, przynieść nam może i mu i tylko materyalne korzyści.

Pomijając bowiem okoliczność, że idąc państwu z pomocą w tej krytycznej sytuacyi, podniesiemy ogólny dobrobyt, co wpłynie dodatnio na poprawę stosunków, z czego skorzystają i jednostki, lokata kapitałów w pożyczce Odrodzenia jest i pewną i korzystną operacyą finansową. O ile zresztą obecna pożyczka nie dopisałaby, czeka nas w najbliższej przyszłości pożyczka przymusowa, nie przedstawiająca już tak dogodnych i korzystnych warunków.

Nie należy też zapominać i o tem, że oczy całego świata są na nas zwrócone, a niepowodzenie tej pożyczki wewnętrznej obniży jeszcze bardziej wartość naszej waluty na rynkach zagranicznych.

Nie tak dawno podnosiły nasze pisma kwestyę nieudania się pożyczki czeskiej, w naszem leży ręku, aby w podobny sposób nie odpowiedziała zagranica, przedstawiając nas, jako ludzi nie żałujących słów, ale dalekich do czynu.

Na całym obszarze ziem polskich, również i w Ameryce północnej rozwinięto agitacyę za pożyczką Odrodzenia bardzo intenzywnie. Zajęły się tem komitety lokalne, pozostające w ścisłym związku z Centralnym Komitetem propagandy w Warszawie. Słowo żywe i drukowane zachęcało do spieszenia Ojczyźnie z pomocą, na najszersze zaś warstwy nie zostały bez wpływu manifestacye na rzecz pożyczki, urządzane w całym kraju tu i ówdzie z nadzwyczajną pomysłowością.

Do najbardziej udałych zaliczyć się musi dzień propagandy w Częstochowie. Komitet miejscowy dołożył pracy i wykazał tyle zapału patryotycznego, że śmiało może innym, nawet stołecznym, posłużyć za wzór, godny naśladowania.

W częstochowskim pochodzie manifestacyjnym na rzecz pożyczki Odrodzenia, urządzonym w ubiegłym tygodniu, wzięły udział tysiące ludności ze wszystkich sfer, miejscowe instytucye, korporacye i sąsiednie fabryki, składając się na całość tak zajmującą i malowniczą, jakiej nie powstydziłaby się i zagranica. Poprostu wysilano się, aby wymyślić coś oryginalnego. Posuwał się zatem w pochodzie potężny parowóz, skonstruowany w tym celu przez miejscowych kolejarzy, odbywała się fabrykacya za-



Częstochowa za pożyczką Odrodzenia: Przemowa do kilkunastotysięcznych tłumów inspektora ruchu P. K. P. Młynarczewskiego. Na pierwszym planie stoi w tłumie starosta powiatu częstochowskiego p. K. Kühn obok pułkownik i komendant Pow. Kom. Uzup. Odyniec.



Częstochowa za pożyczką Odrodzenia: Wóz pieców wapiennych.



Częstochowa za pożyczką Odrodzenia. Wóz fabryki zapałek, na którym w czasie pochodu wyrabiano zapałki.



Francuskie święto narodowe w Cieszynie: Generał de Corn (X) komendant wojsk sprzymierzonych i komendant okr. cieszyńskiego Framont przed ceremonią rozdania odznaczeń między żołnierzy.

pałek, stowarzyszenie fryzjerów urządziło ruchomy zakład, w którym dokonywano „operacyi", rzeźnicy wyruszyli gremialnie, wioząc na wozie krowę, świnię i barana, specyalny wóz miała papiernia, cech ślusarzy, budownictwo słowem, widziało się tam wszystkich i wszystko, a jedno było piękniejsze i ciekawsze od drugiego, wszystko zaś razem zdawało się przemawiać do widza, że i on nie powinien zostać w tyle, lecz dołożyć swą cegiełkę do ogólnej budowy wspaniałego gmachu naszej przyszłości, aby nam w nim wszystkim było dobrze i swobodnie.

Szereg ilustracyi, jakie podajemy w niniejszym numerze, to tylko słabe odbicie tego naprawdę wspaniałego i imponującego pochodu agitacyjnego.

Pokazała Częstochowa, co potrafi, że nie żałuje pracy, jeśli chodzi o dobro Ojczyzny.

Francuskie święto narodowe w Cieszynie.

Dnia 14 lipca, rocznica zburzenia Bastylii, początek nowej ery w dziejach narodu francuskiego, obchodzony jest w sposób bardzo uroczysty tak w kraju, jak i za jego granicami, gdzie się znajduje najmniejsza bodaj kolonia Francuzów.

Węzły sympatyi i przyjaźni jakie naród polski łączą od wieków z francuskim, zacieśniły się jeszcze silniej w czasie obecnej wojny. W szeregu państw sprzymierzonych, należących do koalicyi, jest Francya może jedynem, które się nie kryje z sympatyami dla nas, widząc ponadto w skrzeszeniu silnej polski swój własny, dobrze zrozumiany interes.

Narodowe święto francuskie obchodzono na całym obszarze ziem polskich, jak nasze własne, a w dniu tym szczere sympatye popłynęły z nad Wisły w stronę Sekwany.

Kraków obchodził w tym roku francuskie święto poważnie i cicho, co łatwo wytłómaczyć położeniem, w jakiem się kraj nasz znajduje. Skończyło się na złożeniu życzeń w ręce jenerała francuskiego Trenyo, przebywającego w Krakowie i wysłaniu telegramu do przedstawicielstwa Francyi w Warszawie.

Natomiast w Cieszynie, gdzie Francuzi odgrywają ważną rolę w Międzynarodowej Komisyi plebiscytowej, a Francuz, hr. de Manneville jest jej przewodniczącym i właściwym dziś rządcą Śląska, dzień ten święcono bardzo uroczyście, przy udziale członków Komisyi międzysojuszniczej, władz wojskowych, koalicyjnej załogi i tłumów publiczności, wznoszącej na cześć sprzymierzeńców entuzyastyczne okrzyki. W tej chwili zapomnieli ślązacy uraz, jakie żywą, ale nie do rządu francuskiego, lecz poszczególnych członków Komisyi, może nie zawsze postępujących wobec nas lojalnie lub bodaj tylko neutralnie.

I Rada Narodowa, składając życzenia, składała je ze szczerego serca, wiedząc o tem, że nie składa ich Komisyi, lecz narodowi francuskiemu, który nam dał już tyle dowodów swej przychylności. Ilustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, przedstawiają uroczysty obchód francuskiego święta narodowego w Cieszynie. Odbyło się ono poważnie z zwykłym w takich wypadkach ceremoniałem.

Był tu także ostatni występ publiczny reprezentata Japonii w Komisyi plebiscytowej, dra Yamady, który opuszcza Cieszyn, będąc przeniesiony na inne stanowisko.



Francuskie święto narodowe w Cieszynie: Przedstawiciele Kom. plebiscytowej, Rady Narodowej i instytucyi śląskich, uczestniczący w uroczystości.

Nieporządki aprowizacyjne w Niemczech.

W „państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów" chwalono zawsze ład i porządek, panujący nawet w czasie wojny, stawiając go za wzór innym rządom i twierdząc, że tutaj każdy obywatel dostaje regularnie swój przydział żywności. Mało, bo mało, ale wie, że go to nie minie, wobec czego „pasek" w Niemczech nie ma pola do popisu.

Tak jednak nie jest, jak się o tem przekonujemy nawet z pism niemieckich i widoków nadsyłanych przez tamtejsze fotograficzne centrale. Zwłaszcza wielkie miasta i centra przemysłowe cierpią na wielki brak artykułów spożywczych, „pasek" rozwija się zupełnie prawidłowo, jak wszędzie gdzieindziej, a tam i ówdzie przychodzi dość często do poważnych nawet demonstracyj drożyźniano-głodowych.

Od czasu zniesienia blokady Niemiec, to jest od podpisania traktatu pokojowego, dowóz żywności z zagranicy odbywa się zupełnie prawidłowo,



Nieporządki aprowizacyjne w Niemczech: Pochód demonstracyjny głodującej ludności przez ulice Stuttgartu.

(przedtem odbywał się także, ale potajemnie) to wszystko przecież nie wystarczy na zaopatrzenie potrzeb ludności, gdyż Niemcy są krajem przemysłowym, a produkcya rolna jest bardzo ograniczona, a przemytnictwo, zwłaszcza z Polski utrudnione.

Głodują też i niedoszli „panowie świata", a że nie tylko jak się okazuje, Polak, gdy głodny, to zły, przychodzi od czasu do czasu do konfliktu między ludnością a władzami aprowizacyjnemi.



Francuskie święto narodowe w Cieszynie: Delegacya oficerów włoskich biorąca udział w uroczystości.

Widownią ich był niedawno Stuttgart, stolica Wirtembergii. Są to już tak zwane „Niemcy południowe", gdzie poszanowanie władzy i jej zarządzenie nie jest widocznie tak przestrzegane, jak we właściwych Prusach, choć i tam przed żołądkiem, dopominającym się o swe prawa, musi ustąpić majestat władzy.

W Stuttgarcie z powodu drożyzny środków codziennego zapotrzebowania, urządziła ludność miasta olbrzymią demonstracyę. Kolosalny pochód przeciągał wśród groźnych okrzyków ulicami miasta i skierował się pod ratusz, aby władzom przedstawić swoje żądania. Gdy skonsygnowane tutaj wojsko broniło tłumom dostępu, wdarły się przemocą, przyczem przyszło do obfitego rozlewu krwi. Po obu stronach padło kilka trupów, wiele osób odniosło ciężkie rany.

Po konferencyi w Spaa.

(Do illustracyi na str. 10).

Niewielka, choć bardzo urocza miejscowość belgijska, Spaa, znana do niedawna tylko tym, którzy tu szukali zdrowia lub wypoczynku, jest dziś na ustach wszystkich. Tu ważyły się losy świata całego, zwłaszcza zaś Polski.

Rada Najwyższa, regulująca dość powoli stosunki międzynarodowe, odbyła też, począwszy od 3 lipca, dwutygodniową konferencyę, której głównym przedmiotem miało być ostateczne załatwienie warunków traktatu pokojowego wersalskiego, to jest sprawa rozbrojenia Niemiec i ustalenie odszkodowania pieniężnego, mającego być przez nie wypłaconem.

Konferencyę w Spaa poprzedziły dwudniowe obrady mężów stanu Koalicyi w Brukseli, które się odbyły 2 i 3 lipca, w ścisłym zaś związku z nią stał zjazd w Boulogne sur Mer, dokąd również zaproszono i delegacyę polską, podejmowaną bardzo serdecznie.

Jakie decyzye powzięto w Spaa, o tem wiemy z komunikatów rządowych, które, przyznać trzeba, były dość skąpe i lakoniczne. Delegaci niemieccy przyjęli całkowicie warunki w kwestyi rozbrojenia, ale z licznemi koncesyami, jakie sobie potrafili wywalczyć i zapewne w tej nadziei, że i w dalszym ciągu uda im się odwleczenie ich spłacenia. Widocznie względy, okazane im zwłaszcza przez Anglię, dodają im otuchy, że przecież w rezultacie wykręcą się sianem, co się im dotąd stale udawało. Przyczynia się do tego i brak zgody w łonie samej Koalicyi i nieufność, z jaką Francya odnosi się do Anglii, posądzając ją, może i słusznie, że tylko swoje własne interesy ma na oku.

Co do kwestyi odszkodowania, okazało się, że sprawa ta nie jest jeszcze należycie dojrzała do ostatecznego rozstrzygnięcia. Odłożono ją też do następnego zjazdu, jaki się ma odbyć w jesieni, podobno dla rozmaitości tym razem w Genewie.

Dla nas Polaków konferencya w Spaa miała doniosłe znaczenie. Pomijając kwestyę, że w rozstrzygnięciu stosunku Niemiec do Koalicyi jesteśmy bezpośrednio i pierszorzędnie interesowani, gdyż Niemcy na pierwszy plan wysuwają stale sprawę Górnego Śląska i Gdańska tutaj także chodziło o nasze polityczne być albo nie być.

Z powodu braku poparcia ze strony sojuszników, którzy każą nam być zasiekiem z kolczastego drutu, chroniącego resztę Europy od bolszewickiej nawały. Rada Obrony Państwa widziała się zmuszoną wysłać do Spaa prezydenta ministrów Grabskiego, aby koalicyjnym mężom stanu przedstawił polityczne położenie Polski, nie mogącej się w obecnych warunkach obejść bez pomocy zewnętrznej. Starania jego odniosły o tyle pożądany skutek, że Koalicya, przez usta Lloyda George'a, obecnego dyktatora świata, zdecydowała się udzielić Polsce pomocy, lecz tylko moralnej, t. j. podjąć się pośrednictwa między nią a rządem sowietów w sprawie zawieszenia broni i pokoju — na warunkach, podobno dla nas bardzo ciężkich i trudnych — gdy natomiast Francya była za udzieleniem Polsce natych miastowej bardzo wydatnej materyalnej pomocy.

Jaki będzie wynik pośrednictwa Anglii, o tem dotąd nie wiemy, słychać jednak, że podobno rząd sowietów zgodził się na zawieszenie broni i wdrożenia rokowań pokojowych, lecz nie w Londynie, jak tego żądał Lloyd George, ale w Brześciu Litewskim.

W dziejach naszych konferencya w Spaa zajmie w każdym razie bardzo poważne miejsce.



Francuskie święto narodowe w Cieszynie: Dekorowanie oficerów i żołnierzy francuskich w dniu 14 lipca b. r.



Nieporządki aprowizacyjne w Niemczech: Tłumy manifestantów przed ratuszem w Stuttgarcie.

MATYLDA SERAO

„UCIĘTA RĘKA"

TŁÓMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

I.

Robert Alimena, owinięty w kosztowne futro bobrowe, patrzał z roztargnieniem na posługacza w niebieskiej bluzie, który stojąc w przedziale pierwszej klasy, układał starannie na siatce wykwintne bagaże jego: były tam walizy, worki podróżne, pledy, nesery znaczone monogramem R. A.

Młody człowiek stał sam na platformie dworca. Nikt nie przyszedł go żegnać, ani przyjaciel, ani kobieta żadna. Robert spoglądał wokoło siebie obojętnie, spokojnie, bez ciekawości i bez zniecierpliwienia.

Na razie udawał się do Nicy, w Rzymie chciał spędzić kilka dni, gdzie pragnął uczestniczyć w zebraniu ambasady angielskiej, poczem zwrócić się chciał do Genewy i Vintimille.

Jednakże zamiar ten nie był jeszcze całkiem pewny, bo pragnienia i myśli Roberta Alimena rozbieżne były, często i kapryśne.

Podróżował dla przyjemności, ciągnąc zawsze ku słońcu i cieple, nienawidząc klimatów ostrych i wietrznych i nigdzie nie zatrzymywał się długo, choć wszędzie przyjmowany był w najlepszych towarzystwach chętnie i życzliwie jako człowiek bogaty, niezależny o miłem, ujmującem obejściu.

Robert Alimena nie mógł się nazwać nieszczęśliwym. Los obdarzył go dosyć obficie. Śniadą o doskonałym rysunku twarz, upiększały jeszcze duże, ciemne oczy o melancholijnem, łagodnem wejrzeniu, usta jego mocno czerwone pod małym, jedwabnistym wąsem miały w uśmiechu lekko ironicznym coś, co przykuwało uwagę. A przytem był bardzo bogatym. Rodziców stracił w młodym wieku i dziś sam według woli swojej i kaprysu rozporządzał majątkiem swoim i życiem. Nie kochał właściwie dotąd nic i nikogo. Żył, bawił się, szalał, ale pośród licznych jego kochanek, nie znalazła się dotąd ani jedna, którąby się silniej zainteresował. O założeniu domowego ogniska nie myślał nigdy, bo nie posiadał go wcale, nawet w latach dziecięcych.

Brakowało kilka już tylko minut do odejścia pociągu.

Robert poszedł kupić kilka dzienników francuskich i angielskich i wszedł do swojego przedziału.

Był sam. Samotność tę chwilową okupił sobie sowicie u konduktora pociągu.

Robert zatopiony jak zawsze w swoim spokojnym egoizmie, zanim jeszcze pociąg ruszył, zajął swoje miejsce, wyciągając nogi przed siebie, kapelusz zastąpił miękką, wełnianą czapką, nogi owinął pledem futrzanym i głowę wsparł na skórzanej poduszce, z którą nie rozstawał się nigdy podróżując.

Pociąg ruszył nareszcie. Nikt nie przyszedł mącić jego samotności, Robert więc paląc papierosa zatopił się w rozmyślaniach.

Czy dobrze mu będzie tam, gdzie się reraz udaje?

W Neapolu bawił się dobrze, ale żadnego żalu ani wspomnienia nie pozostawił wyjeżdżając. Mało go zresztą obchodziło, co go czeka w tej dalszej podróży. Jechał, bo w Neapolu było zimno, a w Nicy może cieplej będzie, ale ani Neapolu nie żałował, ani tęsknił do Nicy.

Żył, bo żyć musiał, znudzony często i zobojętniały na wszystko, niezdolny nawet do wyszukania tej podniety, któraby dalszem życiem kierowała.

— Robercie — rzekł mu raz jeden z jego bliższych znajomych, ty nie masz żadnego celu, by przedłużać swoje życie.

— Tak — to prawda — odpowiedział Alimena, uśmiechając się dziwnie. — Ale też niemam powodu umierać.

Niedaleko Caserty, Robert zaczął drzemać, kiedy dojeżdżano do Sparanisy, spał już doskonale. Figaro spadło z jego kolan razem z New-York Heraldem, kilka niedopałków z papierosów potoczyło się na siedzenie.

Aż dotąd nikt go nie niepokoił. Kilkakrotnie zdawało mu się widzieć jak w śnie, twarz jakąś migającą za szybą wagonu. Leżał teraz wygodnie wyciągnięty na siedzeniu, uśpiony głęboko.

Noc już była, kiedy dojechano do Ceprano. Podczas krótkiego postoju, Robert nie obudził się, tylko odwrócił na drugą stronę, machinalnie owijając się pledem.

Spał i marzył.

Zdawało mu się teraz, że nie sam znajduje się w przedziale; zdawało mu się w tem sennem marzeniu jakie go ogarnęło, że cień jakiś jak lekki prąd powietrza wsuwał się do wagonu, że ktoś wszedł tutaj i pozostał.

Zdawało mu się również, że ciemność w przedziale była taka głęboka, że pomimo wysiłków, aby coś spostrzedz, nie mógł rozpoznać nawet zarysów tej formy, która tu weszła. Senne to zjawisko w końcu męczyć go zaczęło. Poruszył się kilkakrotnie pod futrem jakgdyby chciał odpędzić zmorę napastującą go coraz silniej, lecz sen stawał się coraz to wyraźniejszy i przeszedł wkrótce w halucynacye.

Teraz już widział parę oczów, wlepionych w siebie uporczywie, oczy nieruchome, zielone jak wody dużego stawu. I w śnie szedł za tem zimnem, upartem spojrzeniem. Do kogo ono należało? Czy należało do osoby jakiej, do osoby żyjącej czy też do widma? Czyje były te oczy, które widział tak wyraźnie w ciemnościach, otaczającycz jego sen? Bo naprawdę widział je doskonale; zielone, zimne, nieruchome, wpatrzone w niebo uparcie.

Nagle, w chwili, kiedy to majaczenie stawało się już coraz gwałtowniejsze i bardziej męczące, pociąg stanął. Robert doznał silnego wstrząśnienia i z trudem obudził się, usiadł, ogłuszony, patrząc około siebie.

Służba kolejowa wykrzykiwała nazwę stacyi Trosinone.

Człowiek jakiś siedział naprzeciw Roberta. Młody człowiek już rozbudzony żachnął się niecierpliwie. Konduktor wszystkiemu był winien. Eał mu przecież dziesięć franków! Na szczęście był to mężczyzna, nie kobieta. Robert mógł więc dalej ułożyć się wygodnie i spać.

— Żeby tylko ktoś więcej nie wsiadł tutaj — pomyślał ze złością.

Wcale nie był ciekawy nowego towarzysza. Zaledwie obrzucił go niedbałem spojrzeniem. Co ten podróżny mógł go obchodzić?

Starał się zasnąć z powrotem, ale długo leżał z otwartemi oczyma.

Zapalił więc papierosa i usiadł, nie zajmując się wcale człowiekiem, który siedział naprzeciw niego. Ale poprawiając pled, Robert mimowoli potrącił go nogą.

— Przepraszam — szepnął grzecznie.

Tamten nie odpowiedział, ani się poruszył.

— Głupiec bez wychowania — pomyślał Alimena. Ale uspokoił się zaraz.

Podróżny nie rozumie może francuskiego języka. Może jest Niemcem albo Anglikiem.

Wtedy baczniej już przyjrzał mu się.

Przedział był oświetlony maleńką, nocną lampką, której płomień migotał nieznośnie. W tym półcieniu Robert dojrzał sylwetkę mężczyzny, owiniętego w szeroki ciemny płaszcz, o wysoko podniesionym kołnierzu, przytrzymywanym sukienną klapą. Połowa jego ciała tonęła pod pledem, ręce były pokryte brązowemi rękawiczkami. Na czole podróżny miał głęboko nasuniętą czapkę z klapami na uszy tak, że z całej jego osoby widniały tylko oczy, górna część policzków bladych, bezkrwistych, usta cienkie, pokryte jasnymi wąsami i początek również jasnej brody.

Jednakże pomimo półcienia Robert spostrzegł, że te oczy były zielone i nieruchome, te same oczy widziane w sennem majaczeniu. Oczy bez żadnego wyrazu, bez ciepła, raczej kawałki szkła zielonego, w których nie odbijał się obraz żaden.

— Sny są jednak dziwną rzeczą — pomyślał Robert.

Oczywiście po tem małem wydarzeniu, Robert zrezygnował z dociekania, kto jest jego współtowarzysz podróży. Ten ostatni nie poruszał się wcale, trzymając ręce złożone na kolanach. Nie drzemał, ani nie palił. Robert nudził się, szukał zajęcia, które mu skróci godziny podróży. Wstał więc i otworzył torebkę skórzaną, z której wyjął butelkę koniaku i małą srebrną czarkę.

Lecz w tej chwili zwykła jego uprzejmość i dobre wychowanie ujawniły się.

Czy mam ofiarować trochę koniaku temu człowiekowi o zielonych, martwych oczach, który może jest Niemcem?

Podał jednak butelkę z czarką nieznajomemu mówiąc:

— Czy zechce się pan napić?

Podróżny nie odpowiedział. Uniósł tylko rękę, czyniąc ruch odmawiający i oczy jego poraz pierwszy objęły żyjącem spojrzeniem młodego człowieka.

— Doskonale, rozumie język francuski — rzekł do siebie Alimena, wypróżniając kieliszek koniaku. Poczem włożył butelkę do torby, a torbę rzucił na siatkę.

Wówczas spostrzegł, że nieznajomy nie miał żadnych bagażów. Siatka nad jego głową była pusta. Robert usiadł i zapalił papierosa, ale papierosy gasły szybko, zimno stawała się dokuczliwe i szyby pokryły się gęstą mgłą szarą.

Robert dygotał pod swojemi futrami i powoli zaczęło go ogarniać jakieś przykre uczucie zdenerwowania.

Ta chwila ciężyła mu bardzo.

Czytać nie mógł, bo światło było za nikłe, rozmawiać nie mógł z towarzyszem, bo nie wiedział, jakim językiem odezwać się do niego. A zresztą Robert nie był zbyt skłonny do rozmowy w podróży.

Myślał w tej chwili z prawdziwem utęsknieniem o dworcu w Rzymie, a więcej jeszcze o „Hotelu Europejskim" na placu hiszpańskim. Telegrafował tam, aby mu zatrzymano dwa pokoje i marzył już o dobrym ogniu na kominku. Nie! naprawdę zanadto zimno było w tym przedziale!

Spojrzał na współtowarzysza, jakgdyby mu chciał powiedzieć: „Prawda, jakie zimno!" Oh! jakże on teraz wyglądał! Oczy jego stały się przeźroczyste, jak stare lustra w ciemnym pokoju.

Przeźroczyste i zielone!

Zdawały się być zamarznięte. A człowiek bledszy był jeszcze.. prawie biały. Usta pod wąsem sine były i miały grymas cierpienia.

— Zdycha ze zimna! — pomyślał Alimena.

Ostatnia godzina podróży wydała mu się bez końca. Niedobrze mu było z powodu zimna. Nieśmiał się poruszać, choć miał ochotę napić się jeszcze kieliszek koniaku. I drżąc pod swojemi futrami, myślał równocześnie, że tamten zamarznie pod cienkim płaszczem.

Podróżny rzeczywiście robił wrażenie trupa... trupa z otwartemi oczami.

— Jeżeli zechce umrzeć tutaj, nie myślę mu przyjść z pomocą — pomyślał egoistycznie Robert, drżąc na myśl wyciągnięcia ręki z pod ciepłego futra.

Nareszcie zabrzmiały okrzyki konduktorów:

— Rzym! Rzym!

Nieznajomy wstał pierwszy. Robert, który z trudem powstał także, ujrzał małego człowieczka, chudego bardzo, a sądził, że przeciwnie powinien być wysoki i gruby. Obszerny płaszcz pokrywał wielki garb na lewej łopatce.

— Garbus! to znak szczęścia — pomyślał Robert, który, jak każdy Włoch, był trochę zabobonny.

Odchodząc, nieznajomy nie ukłonił się, nie kiwnął nawet głową. Robert, czekając na posługacza, widział jak prędko znikł w tłumie zalegającym peron.

Po chwili Alimena opuścił wagon. Dwaj posługacze z bagażami szli za nim. Uczucie niepokoju, które ciążyło mu dotąd, rozwiało się. Zimno nawet zdawało mu się mniej dokuczliwe. Z głębokiem westchnieniem ulgi wsiadł do omnibusu „Hotelu Europejskiego".

Mieszkanie zamówione w hotelu składało się z sypialni, salonu i gabinetu toaletowego. Robert wchodząc do mieszkania z przyjemnością rozpoznał znajomych mu już służących i natychmiast poprosił o rozpalenie ognia.

Zaledwie posługacz wniósł bagaże, kiedy już wesoły płomień migotał na dwóch kominkach.

Robert rozebrał się i usiadł w wygodnym fotelu przy ogniu, oczekując na podanie obiadu.

W jakiś czas później służący przyszedł mu oznajmić, że obiad już podany.

Robert udał się na salę, zabierając ze sobą futrzany płaszcz, obawiając się zimna. Ale hotel cały był ogrzany i przyjemne uczucie owładnęło zaraz na wstępie młodego człowieka.

Po obiedzie powrócił do siebie z zamiarem pójścia wieczorem do Opery i powoli zabrał się do otworzenia swoich waliz i kufrów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

10

— Dlaczego pani mówi, żebym się nie obraził? pani chciała powiedzieć inaczej, i miałaby słuszność. Iseacson, jest nadzwyczaj inteligentnym człowiekiem, a ja nie. Ale on ma tyle serca co i ja, pomimo, że nie mam jego rozumu, ale im rozum silniejszy, tem lepiej.

— Ale rozum — oh! rozum ma taką skłonność do zaćmienia, do obezwładnienia serca, w swej sile bywa tak zarozumiały. Sądzę, że pan ma *le juste milieu*, niech to panu wystarczy. Niech pański rozum nie woła o więcej, a serce niech zawsze nad nim góruje.

— Pani ma za dobre o mnie wyobrażenie, o wiele za dobre!

Pochyliła się nad stołem i patrzała na niego zbliska, badawczo, jak osoba tak bardzo pochłonięta jedną myślą, że nic innego nie widzi.

— Przypuszczam, że nie — rzekła — a jemu się zdawało, że chce mu wyrwać serce i zobaczyć jak bije — przypuszczam, że nie.

Przechyliła się w tył, wracając do dawniejszej pozycyi, ręka, którą schwyciła róg stołu, opadła na kolana.

— Może być. Mam o panu dobre wyobrażenie, to pewne. Obawiam się, że często myślę źle o ludziach, a jednak, staram się sądzić bezstronnie, nie podług moich smutnych doświadczeń. Bywają zacni ludzie, ale bywają też i bydlęta. Pan musi o tem wiedzieć, chociaż wątpię, czy mężczyzna może dobrze poznać mężczyznę, może trzeba być kobietą, żeby poznać mężczyznę-bydlę, lub anioła.

— Zdaje mi się, że pani ma słuszność.

Mówił prawie z przekonaniem. Przez cały czas, jak z nią rozmawiał, miał wrażenie, że jest zrozumianym, że go ceni, może nawet zanadto. I to uczucie rozgrzało mu serce i umysł, jak szlachetne wino rozgrzewa ciało.

— Tak, jestem pewien, że to prawda.

Postawił filiżankę. Nagle zapragnął samotności. Widział lekko poruszające się firanki, słyszał, daleko, stłumione głosy miasta. I pomyślał o rzece, o zachodzącem słońcu, o łodziach, płynących bystrym prądem, o falach na wodzie. Jego myśli i uczucia były jak te fale, i czy nie były one, porwane jednym prądem czasu, do morza czynu? Obudziła się w nim ogromna tęsknota, tęsknota, która była jego rdzenną naturą, lecz czasem leżała spokojnie. Zapragnął szerokich horyzontów, jakie ma przed sobą Beduin na pustyni, którą kocha, i która do niego należy. Zapragnął wielkich uczuć i czynów. Wielkość, to męskość — wielkość myśli i życia, Nie salon, ale pustynia ze ślicznemi oazami, to dopiero stosowne dla człowieka miejsce.

Tymczasem siedział w salonie — chciał wyjść z niego, lecz nie sam. Chciał wziąść tę kobietę za rękę, i wyjść z nią razem. I przypomniał sobie poetę Browning'a, kochającego kobietę chorą, leżącą zawsze w zamkniętym pokoju, zanadto chorą, ażeby wyjść na słońce, i napawać się szerokim podmuchem powietrza. A on ją porwał i uniósł na szczyty Apeninów. Sama myśl o takiej zmianie w życiu, była jakby okrzykiem radości.

— Co panu jest? — spytała Mrs. Chepstow, patrząc ze zdziwieniem na rozpromienioną twarz Nigla; poraz pierwszy widziała przed sobą człowieka, którego odczytać nie mogła, człowieka, który się tak zmienił pod wpływem jakiejś wewnętrznej przyczyny: — co pan jest?

Ale on jej nie powiedział — nie mógł powiedzieć. Powstał, ażeby wyjść. Przechodząc obok pianina, spojrzał znowu na stojące na pulpicie nuty.

— Czy pani to bardzo lubi? — zapytał.

— Co? — Oh! Gerontis!

Oczy jej spoczęły chwilę na jego twarzy.

— Lubię. To mnie unosi ponad ziemię — tak, jak duszę unosi anioł.

— „To dziecko z gliny, zostało mi dane" — pamięta pan?

— Pamiętam.

Pożegnał się. Ostatnia rzecz, na którą spojrzał, wychodząc z pokoju, była książka „The Skarlett Letters" w białej oprawie, leżąca na stole. Przeniósł swój wzrok na Mrs. Chepstow, wyszedł i zamknął drzwi. Zaraz na korytarzu spotkał czysto ubraną francuskę pokojową. Oczy jej były zaczerwienione, widocznie długo i gorzko płakała. Niosła suknię i weszła do pokoju, przyległego do saloniku Mrs. Chepstow.

— Biedna dziewczyna — pomyślał Nigel — ciekawym co jej się stało? Przeszedł korytarz, zeszedł ze schodów i udał się nad Tamizę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Mrs. Chepstow stała przez chwilę obok pianina jakby oczekując powrotu swego gościa. Ale Nigel nie powrócił, żeby jej powiedzieć ostateczne słowo. Siadła przy fortepianie i uderzyła kilka akordów akompaniamentu do słów księdza, żegnającego duszę. Lecz to trwało tylko chwilę, poczem zrzuciła nuty i zagrała jakiś hiszpański taniec, pełen zmysłowości, tak jak muzyka Elgara, była pełną uduchowienia. Grała bardzo dobrze, prawie tak dobrze, jak sewilska gorąco — krwista dziewczyna byłaby go tańczyła. Przy końcu usłyszała szmer w sąsiednim pokoju, przerwała grę i zawołała:

— Henriette!

Nie było odpowiedzi.

— Henruttel — zawołała powtórnie.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich francuska pokojowa z zaczerwienionemi oczami.

— Dlaczego się nie odzywasz kiedy wołam? Jak długo tam byłaś?

— Parę minut, Madame — odrzekła cichym głosem dziewczyna.

— Czy spotkałaś kogo na korytarzu?

— Tak, Madame, jednego pana.

— Wychodzącego stąd?

— Tak Madame.

— Czy ciebie widział?

— Naturalnie, Madame.

— To znaczy — czy cię zauważył?

— Zdaje mi się, Madame.

— I czy widział, że wchodzisz do mego pokoju — z temi oczami?

— Tak, Madame.

— O nieba! — zawołała — jeżeli jest coś głupiego do zrobienia, z pewnością — idź sobie, idź!

Dziewczyna szybko wyszła i zamknęła drzwi.

— Idyotka — szepnęła Mrs. Chepstow. Wiedziała jak ważnem jest ostatnie wrażenie.

Wyszła na balkon i spojrzała obojętnie na przystań, na snujących się tam ludzi. Nie wiedziała, że Nigel znajduje się między nimi. A on szedł brzegiem rzeki, patrzał na zachodzące słońce i myślał o poecie Browning'u, o kobiecie, którą miłość zaniosła z zamkniętego pokoju na szczyty gór.

VII.

Pomimo, że Nigel był entuzyastą, i że niektórzy nazywali go dziwakiem, był także człowiekiem światowym. Znał się światowej opinii i wiedział jak świat się zapatruje na czyny, niezgodne z jego pojęciami. Fakt, że często na to nie zważał, nie znaczył, żeby o tem nie wiedział i w swych stosunkach z Mrs. Chepstow, znajomość świata go nie opuszczała. Zdawał sobie jasno sprawę, jak przeciętny mieszkaniec Londynu — człowiek spotykany w klubach — myślałby o przyjaźni, pomiędzy nim a Mrs. Chepstow.

— Mrs. Chepstow złapała biednego Armine'a na haczyk. Takie lub temu podobne byłoby ogólne zdanie.

Czy byli przyjaciółmi? czy mogli być nimi?

Nigel spotkał Mrs. Chepstow przypadkowo w hell'u Savoy. Była w towarzystwie *racing-mana*, którego znał mało, lecz który ją znał dobrze, ten ich zapoznał, i zaraz wybiegł, chcąc się o jakimś koniu dowiedzieć. W taki sposób ich znajomość się zaczęła. Jak się będzie dalej rozwijała? i czy się będzie rozwijała?

Nigel był silnym, w kwiecie wieku, mężczyzną. Nie był świętym i zaczynał rozmyślać. Iseacson, który już powrócił do miasta, zaczął się także zastanawiać. W czasie sezonu, doktór był bardzo zajęty. Dużo Amerykanów i cudzoziemców, chciało się go poradzić. Pomimo, że wierny swemu postanowieniu, nie pozwalał wpuszczać żadnego pacyenta po pół do szóstej, praca jego rzadko kiedy kończyła się przed siódmą. Nie mógł więc często Nigla widywać, ale spotkał się z nim kilka razy, słyszał co o nim mówiono i dzięki swemu instynktowi i temu, czego się dowiedział, zrozumiał jego sytuacyę względem Mrs· Cepstow.

Nigel chciał być szczerym z Iseacsonem, lecz go powstrzymywała jakaś nieśmiałość, może przez tę kobietę, subtelnie rozbudzona. Ale za to inni mówili Iseacsonowi, i to za wiele mówili, ze śmiechem bydlęcia nie anioła.

A doktór doszedł do własnego wniosku. Zaraz na początku zrozumiał, że znajomość pomiędzy tą światowo zrujnowaną, już nie bardzo młodą, ale zawsze uroczą kobietą, a tym entuzyastycznym młodym człowiekiem nie będzie czemś lekkiem i przejściowem. Kobieta tego chciała i może najgłębsze, rdzenne przymioty Nigla, także tego pragnęły. Entuzyazm kręci bicz, który popędza rumaka do szalonego niczem niepowstrzymanego galopu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pochyliła się nad stołem i patrzała na niego zbliska badawczo.

M. STAWISZ

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

3

I.

— Co też pani Gawlikowa mówi? — oburzyła się dziewczyna. — Gdzie ja teraz jaj znajdę? Państwo potrzebują do pierwszego śniadania.

— A mnie co to obchodzi? jak kto ma pieniądze, to niech większe zapasy robi — odparła Gaw'ikowa, zawijając jaja w kawałek starej gazety. — Należy się piętnaście marek!

— Jakto? — zdziwiła się dziewczyna. — Dyć jeszcze wczoraj kupowałam po koronie osiemdziesiąt.

— To idź sobie panna tam, gdzieś kupowała; u mnie niema targu, a jak się komu nie podoba, to do widzenia. Patrzcie państwo! Pieniędzy się do'obili na ludziach a handryczą się jak żydzi. Chyba panią rzeźniczkę stać na dziesięć marek — dorzuciła zjadliwie.

— Pewnie że stać! — mruknęła obrażona służąca, rzucając zmięty papierek na ladę. — Niedoczekanie wasze, żebym tu jeszcze przyszła!

— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanu — zawołała za nią Gawlikowa z wściekłością.

— Dobrze mama zrobiła! — zabrzmiał nagle głos Kazi z pokoju. Po co ta małpa ma tu chodzić przepatrywać.

— A pewnie. Tylko mnie zawsze do irytacyi te szelmy doprowadzają. Jak tylko zobaczę kogo od tych Szulców, to mnie febra zaraz zatrzęsie. No! co tam słychać? Staszka zgotowała kawę?

— A zgotowała.

— Piłaś już Kaziu?

— Nie jeszcze. Kończę się ubierać.

— Przyjdź-no tu, dam ci bułek i trochę masła. Ojciec już wyszedł?

— Wyszli razem z wujkiem.

— No, to chwała Bogu! Spokojniej będzie w domu.

Za chwilę do sklepiku weszła Kazia. Miała na sobie jasną, jedwabną bluzkę i koronkowy kołnierz, kupiony niedawno przez matkę.

Gęste, ciemne włosy zafryzowane były starannie nad czołem, mocno upudrowanem.

— Pokaż no mi się córuś — wyrzekła z zadowoleniem Gawlikowa, przyciągając ją za rękę. Na psa urok! Jak księżniczka z bajki. Ino ci królewicza potrzeba. A co z tym Francuzem, coś mi mówiła — zapytała poufnie.

— A co by? — wzruszyła ramionami Kazia. — Lata za mną, jak opętany. Wczoraj znowu czekał pod pracownią.

— A cóż gada? Żenić się chce?

— Nie wiele się tam z nim dogadać można, bo ledwie trochę po polsku mówi. Zresztą u takich panów, to inaczej, jak u prostych ludzi. Żeby tylko go mama widziała jaki elegancki, jaki grzeczny. Mundur to leży na nim jak na lalce. Oh! żebym się tak wydała za niego — westchnęła ciężko. — Wikta by chyba pękła od zazdrości. Jeszcze nie wiadomo, czy ja ten zbankrutowany hrabia nie zostawi na lodzie.

— A ten twój Francuz bogaty?

— Pewnie! Inaczej bym z nim przecież nie gadała. Mówił, że ma pod Paryżem własną willę i automobil. To nie byle co, moja mamo! Podobno jest synem fabrykanta.

Gawlikowa zamyśliła się głęboko.

— To czego go tu nie przyprowadzisz? — zahazardowała w końcu.

— Tutaj?! — oburzyła się Kazia. — Także mama wymyśliła. Do tej nędzy! Do tych brudów? Co sobie mama myśli! To człowiek delikatny, edukowany. Jak by to wszystko zobaczył, to by się więcej nie pokazał.

— Więc jakże będzie dalej? — niepokoiła się Gawlikowa wpatrzona w córkę. — Przecież jak się chcesz za niego wydać, musimy go poznać, przyjąć, dać przyzwolenie...

— Ach! moja mamo — westchnęła ciężko Kazia, siadając obok matki za ladą. — Już mi głowa pęka od tego wszystkiego. Żeby to inaczej u nas było w domu... żeby nie ten okropny sklepik, ta buda centa nie warta.

— Toś mu nie mówiła...

— Co? miałam się może chwalić, że mama siedzi za ladą i sprzedaje bułki — zaczęła się niecierpliwić Kazia. — Pewnie, że mu nic nie mówiłam. Powiedziałam mu, że ojciec jest urzędnikiem bankowym, a ja chodzę do pracowni na kurs kroju, bo u nas taki zwyczaj, że panny z dobrych domów praktycznie wychowują. Bardzo mu się to podobało.

— Bój się Boga dziewczyno — przeraziła się Gawlikowa, a jak się wszystko wykryje?

— Liczyłam, że się coś zmieni w naszem życiu — przyznała szczerze Kazia. — Dziś takie czasy, że każdy dzień coś nowego przynieść może. Zresztą, niechby się raz oświadczył na seryo, to już moja głowa w tem, że mi się nie wymknie. Ja muszę doprowadzić do tego małżeństwa! muszę! wybuchła nagle zrywając się z krzesła. — Ja tak dalej żyć nie mogę i nie chcę! Wszystkie moje dawne koleżanki powydawały się już podczas wojny za mąż, choć mówią, że teraz trudno o męża, kilka z nich nawet wyszło za oficerów.... ta ruda Wikta! taka poczwara! takie paskudztwo. A ja nic! Oh! tak nie może być! Ziemię i niebo poruszę, a na swojem postawić muszę, na złość wszystkim, na złość tym Szulcom co się panoszą jak nadęte purchawki!



— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanu — zawołała za nią Gawlikowa.

Rozgorączkowana, ze łzami gniewu o błyszczących oczach biegać zaczęła po sklepie, roztrącając wszystko po drodze.

— Uspokój się Kaziu! uspokój się — przerwała Gawlikowa sama poruszona do głębi rozpaczą córki. — Coś obmyśleć trzeba będzie. Tylko przed ojcem i wujkiem nie zdradzać się przedwcześnie. Nic nie pomogą, a tylko nam popsuć gotowi....

Zamyśliła się głęboko i po chwili podniosła na córkę już cośkolwiek rozjaśnione oczy, w których tlił się promyk nagle rozbudzonej nadziei.

— Słuchaj-no Kaziu — wyszeptała tajemniczo — mnie się zdaje, że teraz właśnie coś z tem zrobić będzie można. Ojciec ma zarobić dziesięć tysięcy.... to przecież pieniądze.

— Ja już o tem myślałam — odparła Kazia, podchodząc znowu do matki — ale słyszała mama co mi wujek odpowiedział, kiedy zapytałam, co chcą z temi pieniądzmi zrobić.

— Wujkowi nic do nich! Nie daje je z własnej kieszeni...

— Więc co mama miała na myśli? — zapytała Kazia ciekawie.

— Jak ci tak bardzo chodzi o ten sklepik i ma to odstraszyć tego konkurenta jak powiadasz, to odstąpię go komu i wyniesiemy się na inną ulicę....

— Oh! żeby to było możliwe! — ucieszyła się Kazia, rzucając się na szyję matki. — Możnaby wziąć dwa pokoiki z kuchnią i wtedy przyprowadzę mojego Francuza do domu i małżeństwo gotowe! Ale czy tylko tato się na to zgodzi?

— Zgodzi się na to, co ja chcę — odparła z głębokiem przekonaniem Gawlikowa. — A wujkowi, jak powiadam nic do tego co ja w swoim domu robię. Jak się mu nie podoba, to może iść. Ja nikomu rządzić sobą nie pozwolę....

— Ojciec dalej pozostać może tam gdzie jest — projektowała Kazia rozpromieniona — tylko niechże go mama namówi, żeby w wolnych chwilach zabrał się do interesów. Teraz, kiedy będą już pieniądze w domu, to można przecież przystąpić do jakiej spółki, czy też do jakiego pbocznego handlu. Od małego teraz ludzie zaczynają, a dorabiają się w paru miesiącach kroci.

— I my je mieć będziemy — oświadczyła z takiem przekonaniem Gawlikowa, jakby te krocie już pod ręką miała. — Dziś jeszcze pogadam z ojcem, ale przed wujkiem ani mru-mru, bo gotów nam jeszcze te dziesięć tysięcy sprzątnąć z przed nosa.

— Oj mamusiu! mamusiu, żeby nam tylko dobrze poszło! Oszalałabym chyba z radości.

— Wszystko dobrze pójdzie, jak się do tego na ostro wezmę. No, ale czy ty pomyślałaś Kaziu, jakie to życie będzie z takim mężem Francuzem? Ani my jego mowy, ani on naszej nie rozumie....

— Oh! to głupstwo! — zaśmiała się z całą pewnością siebie Kazia. Niech tylko będzie po ślubie, to wy tam z nim wiele gadać nie potrzebujecie.

— Ale ty? ty?

— Ja się nauczę po francusku, czy to taka wielka sztuka. On zresztą już także po polsku trochę rozumie...

— Ale czy on naprawdę taki bogaty — co?

— Oczywiście! Powiadam mam'e ma willę pod Paryżem i własny automobil. Jak będę chciała tosprzeda tam tę willę i kupimy sobie w Krakowie kamienicę. Przecież on jako przemysłowiec może i tu przystąpić do jakich przedsiębiorstw, Wie mama, mówił mi narzeczony Andzi Terleckiej, ten oficer, halerczyk, że po wojnie dużo tych Francuzów u nas zostanie.

Podobno już teraz skupują fabryki i kamienice.

— To ten halerczyk zna twojego Francuza?

— Pewnie! Często chodzą razem na obiad do Pollera — powiada, że bardzo porządny chłopak, a pieniędzy to ma jak lodu...

— Oni teraz bardzo dobrze stoją, bo podwójną gażę biorą, a te ich franki taki wysoki kurs mają...

— No, widzi mama — przyświadczyła uradowana Kazia. — Ale jest jeszcze jedna rzecz — przymilała się do matki, całując serdecznie. — Mama musi mi dać trochę pieniędzy.

— Pieniędzy? — zaniepokoiła się trochę Gawlikowa. — A na co pieniądze potrzeba, Kaziu? Przedwczoraj ci kołnierz koronkowy kupiłam. Już mnie nim wujek kłuł w oczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Polityka ma to do siebie, że kto w nią raz już wlazł, musi w niej „brodzić po sam pas“, niczem owa Zuzanna w cnocie. Podaj jej palec (naturalnie polityce, nie Zuzannie!...), chwyci cię za całą rękę, a potem za głowę i ani rusz się wydostać z jej namiętnych uścisków.

Po inne lata w tym czasie panowała kanikuła, a dziennikarze polowali na kaczki i węże morskie, dziś są o tyle w lepszem położeniu, że tematu do pisania nie brak, a to głównie dzięki konferencyi w Spaa, która nic sobie nie robiąc z upałów, radzi ciągle. Niestety sytuacya zwłaszcza dla nas przedstawia się niezbyt różowo. To prawda, że „sprawa polska jest dziś osią polityki światowej“, ale, o tem wie każdy, że o swą oś zwykle się ludzie mało kłopotają, myśląc o zastąpieniu jej przez inną dopiero wtedy, gdy pęknie.

Stało się zatem, że choć dopiero w ubiegłym tygodniu wyjechałem ze Spaa, choć tam osobiście nie byłem, wracam znowu, naśladując w ten sposób pana prezydenta Grabskiego, co mi jednak psuje cały porządek tygodniowy, na którym znajdowała się nasza polityka wewnętrzna.

Poważne jednak stosunki, jakie panują w kraju, stoją w ścisłym związku z sprawami zagranicznej polityki postarano się połączyć tak piękne z pożytecznem, aby był wilk syty i owca cała, to jest, aby konferencyi w Spaa oddać co jej należy, a potem dopiero dać nurka w politykę wewnętrzną, czyli krajową, bo to w samej rzeczy wyrób prawdziwie „krajowy“.

W Spaa odbywa się wszystko według programu, niespodzianką było jedynie przybycie tamże prezydenta Grabskiego, wysłanego do Rady Najwyższej z prośbą o pomoc dla Polski w tem ciężkiem położeniu, w jakiem się znalazła. Członkowie Rady Najwyższej to panowie bardzo grzeczni, wysłuchali go też z uwagą, a odpowiedział Lloyd George, który jest ustami Koalicyi. Co odpowiedział, tego dotąd nie wiemy, doszło jedynie do naszej wiadomości, że sojusznicy zgodzili się na udzielenie pomocy w walce z sowiecką Rosyą, ale *na bardzo ciężkich warunkach*... Można sobie zatem wyobrazić, jak one będą wyglądać, skoro Koalicya nawet w normalnych warunkach, gdy nie byliśmy, jak obecnie, wprost w położeniu bez wyjścia, starała się stale na naszej drodze gromadzić trudności, zapewniając nas jednak stale o swej życzliwości i dobrych chęciach.

Dla polityków, o ile kombinacye nie sprawiają im trudności podczas upałów, otwiera się bardzo wdzięczne pole do „wysnuwania konsekwencyi“, od kilku dni można też w restauracyach i kawiarniach krakowskich zauważyć ruch wzmożony, choć do tego przyczyniła się częściowo „ewakuacya Krakowa“ z płci nadobnej, która wyjechała na letnie wywczasy. Słomiani wdowcy nie mieli dotąd jeszcze czasu zapomnieć o przysiędze wierności, odnowionej na wyjezdnem, i na razie nie szukają innych rozrywek, ale idą do knajpy i zawzięcie polityk ują. Telegramów z drutem i bez drutu nie brak też, a jeden potworniejszy od drugiego, natomiast w poczcie pantoflowej pewien zastój, co również przypisać należy wyjazdowi płci gadatliwej na willegiaturę.

Przy tej sposobności muszę zaspokoić ciekawość tej Czytelniczki, która zapytuje, czy też Weronika wyjechała z Krakowa, czy nie. Niestety, nie! Obydwoje w miłej zgodzie dmuchamy w ognisko domowe, ale nie możemy nic wydmuchać. Miałem ją zamiar wysłać do Spaa, aby tam przekonała sojuszników, że skoro Polska broni Europę przed nawałą czerwonych, należy się jej pomoc, oświadczyła, że w zasadzie nic ma nic przeciw temu, lecz bezemnie nie pojedzie, ja zaś jechać nie chciałem, skoro mnie nie zaproszono. A szkoda!... Już tam ona pogodziłaby się prędko nawet z Lloydem George. Polityczne podróże „we dwójkę“ są dziś zresztą w modzie. Nawet i pan Paderewski nie ruszał się nigdy bez pani Heleny, depesze zaś wysyłał poczynające się od słów: „Ja i moja żona“...

Wracajmy przecież do owych warunków, od których uzależniono pomoc dla Polski... Niechaj jednak kto przypadkiem nie myśli, że to będzie pomoc w pełnem tego słowa znaczeniu, że Koalicya wystawi odpowiednio silną konnicę, nie pożałuje rozmaitego rodzaju materyału wojennego, na którym nam tak zbywa. Ma to być jedynie zapośredniczenie w zawarciu pokoju między Polską a Rosyą sowiecką i zagrożeniu jej, że gdyby napadła na granice polskie, wówczas sojusznicy wystąpią czynnie. Ale w tem sęk, że od Wschodu Polska granic niema, z oznaczenie ich pozostawia traktat wersalski sojusznikom.

Już więc na tym punkcie mogą być nieporozumienia. Ogólnie sądzą, że z Wilnem i Mińskiem trzeba się nam pożegnać, że południowo-wschodnia granica pójdzie linią Bugu i Zbrucza, a ukoronowaniem tego wszystkiego jest, że sowiecka Rosya rozstrzygnie o losie Galicyi wschodniej. Telegram iskrowy z Moskwy donosi, że sowiety „zgadzają się“ na plebiscyt w Galicyi wschodniej.

Jednem słowem, wszystko gmatwa się bardziej niż przed wojną, chaos coraz większy, nie ulega kwestyi, że w sytuacyi trudno się zoryentować nawet Lloydowi George.

A przecież przy mętnej wodzie łatwiej łapać rybki, wyszedł też z wędką z jednej strony Czech, z drugiej Niemiec.

I znów nasi politycy do owych „ciężkich warunków“ dodają, że ze Śląskiem Cieszyńskim możemy się także pożegnać, niemniej też i z Górnym, bez którego nie mogliby Niemcy zapłacić odszkodowania. W Cieszyńskiem pono plebiscytu nie będzie, przynależność zaś państwowa tego kraju ma być załatwioną przez arbitraż, który, aby dla Czechów wypadł pomyślnie, powinni być sędziami i Benesz i Klofacz, superarbitrem zaś Masaryk.

Za wysługiwanie się protektorom i sprzymierzeńcom spotkała nas zasłużona nagroda pod postacią „interwencyi pokojowej“ Koalicyi, ale na ciężkich dla nas warunkach, to znaczy, że na sporze polsko-rosyjskim zarobi ktoś trzeci, to jest sama Koalicya i jej protegowani.

Przechodząc teraz do naszych stosunków wewnętrznych, zapytajmy się sami siebie z ręką na sercu, kto temu winien?... Odpowiedź aż się prosi: „My sami!...“

Chcąc dać sobie radę na zewnątrz, trzeba przedewszystkiem u samego siebie zaprowadzić porządek, a tu tymczasem wszystko u nas w tym kierunku szło jak po grudzie.

Gdyby nie wojna wewnętrzna, która stale podcina nam nogi, a i dziś, choć sytuacya tak poważna nie ustała, z wojny na zewnątrz moglibyśmy się śmiać, a i dyplomacya światowa musiałaby się z nami liczyć. Jakże jednak liczyć się z kimś, który jest wprost nieobliczalny?... Zamiast iść wspólnie do jednego celu, nasze stronnictwa stale się za łby wodziły, a korzystali z tego sąsiedzi i przyjaciele, robiąc, co im się podoba, to jest, co im przyniesie korzyść.

Pierwszą zasadą ładu i porządku w każdem cywilizowanem państwie jest silny rząd, oparty na pewnej większości parlamentarnej, aby mógł swe zarządzenia przeprowadzić. U nas zaś dokładało się stale starań, aby temu biednemu rządowi odebrać jeszcze i ten cień jakiejś władzy, powoływano też na odpowiedzialne stanowiska ludzi, którzy do zadania nie dorośli, lecz należeli do partyi będącej wówczas u steru.

Oświadczono, że Polska musi być chłopską i ostatecznie nikt się temu nie sprzeciwiał, wybory do Sejmu przeszły też pod tem hasłem. Ale można być bardzo „ludowo“ usposobionym, a nie koniecznie musi się chodzić bez krawatki lub w butach z cholewami. Z pewnością, gdyby ludowcy byli chcieli, znaleźliby w swem gronie odpowiedniejszych do reprezentowania narodu, choć może nie tak ambitnych.

Nie mam tu na myśli specyalnie ludowców!... Moje uwagi odnoszą się do wszystkich stronnictw, bo jedno podobne do drugiego, jak dwie krople wody. Interes partyjny to grunt, interesy ogółu musiały wobec tego zejść na drugi plan i nic też dziwnego, że z takiem przedstawicielstwem narodu nikt się poważnie nie liczył. Czy surdut, bluza robotnicza, czy sukmana mają zbawić Polskę, to kwestye, nad któremi się zastanawiano od stycznia 1919 roku, zapominając jednak o najważniejszej rzeczy, że powinno się głównie baczyć na to, jakie też pod niemi bije serce, bo sam surdut, bluza lub sukmana nic nie zdziałają!

Surdutowców, to jest intelligentów, odsądzono od czci i wiary, ogłoszono ich poprostu wrogami Ojczyzny, choć strój jeszcze nikomu nie dał patentu na patryotyzm. A i urodzenie też!... Przyjście na świat w pałacu, czy wiejskiej chacie nie powinno być brane w rachubę, zwłaszcza że można się łatwo pomylić w kombinacyach, spotykając się z zupełnie niespodziewanem krzyżowaniem się ras.

Nie urodzenie zatem, ani przynależność partyjna, ale uzdolnienie i chęć do pracy dla ogółu powinna rozstrzygać, na kogo ma paść wybór.

A i wtedy, choćby ów osobnik był nawet i sam jak najmocniej przeświadczony o tem, że tylko on nadawał się na objęcie tego stanowiska, i że go, pomijając, skrzywdzono, nie powinien tego zbyt brać sobie do serca i wzywać do pomsty swych stronników, jak to uczynił Witos w liście „do braci chłopów“.

Ludowcy ciągle z dziwnego punktu widzenia zapatrują się na obecne stosunki, jak to można sądzić z artykułu, z którym nie tak dawno spotkaliśmy się w *Piaście*. Autor zarzuca tam „panom“, że siedzą przy pełnej misie, a chłop musi biedę klepać. Ale pożal się Boże, jak ta „pełna misa“ inteligenta dziś wygląda. Gdyby się autor był nad tem zastanowił, z pewnością nie byłby napisał coś podobnego. Odwrotnie, śmiało twierdzić można, że każdy surdutowiec ma tylko jedno pragnienie, niestety niezniszczalne, aby bodaj raz w miesiącu znaleźć się przy pełnej chłopskiej misie i podjeść sobie dowoli. Intelligent nie odpędza chłopa od swej misy, owszem zaprasza go do niej, ale prosi o rewanż.

W liście zaś swym „do braci chłopów“ powiada Witos, że panowie bawią się w salonie, a chłop musi czekać z czapką w ręku w przedpokoju...

Pan poseł zapomniał widać o tem, jakie to gody sprawił w Wierzchosławicach swej córce, że niech się Wierzynek schowa!... Czy na coś podobnego mógłby się zdobyć przeciętny burżuj nawet bardzo zamożny?... Wszak na tę familijną uroczystość zjeżdżali się ministrowie, generalni delegaci i t. p., i to specyalnymi pociągami, choć wtedy właśnie brak był wozów i lokomotyw celem zaopatrzenia miast w mąkę i ziemniaki.

Prawda, że i jakiś burżuj pozwoli sobie czasem na jakiś „wystrzał“ w guście dajmy na to, owej kolacyi z szampanem dla warszawskich aktorek za dwadzieścia ośm tysięcy marek, ale to wyjątek, o którym potem mówi całe miasto. Zresztą, wolno ludowcowi, wolno i demokracie, bo dla wszystkich są równe prawa. Widocznie mają na to, jeżeli tyle wydają, ponadto przyczyniają się do pomnożenia majątku narodowego i dodają blasku imieniowi polskiemu.

Jaka zawiść i antagonizm panuje między stronnictwami w naszym Sejmie, mieliśmy się sposobność przekonać z okazyi tworzenia się gabinetu po prezydencie Skulskim. Kombinacye rodziły się jedna po drugiej, ale się też i jedna z drugą rozbijały o przeszkody, która teka dla kogo. I stało się, że wyszedł gabinet Grabskiego, którego się najmniej spodziewano, a lewica, zanim jeszcze mógł okazać, sprosta zadaniu, czy nie, już mu wypowiedziała walkę na śmierć i życie.

I sądziliśmy, że się długo nie utrzyma, tymczasem dycha jakoś dotąd, a ponieważ zbliżają się ferye parlamentarne, ma zapewniony byt jeszcze na dwa miesiące. Cała nadzieja, że nowo utworzona *Rada Obrony Państwa* chwyci ster w swe ręce i poprowadzi go energicznie naprzód, nie oglądając się na interesy partyjne. A czas najwyższy!... Maluczko, a byłoby już zapóźno. Stronnictwa kłóciłyby się dalej o smaczniejsze kąski, nie zważając na to, że zewnętrzny nieprzyjaciel, wyzyskując sprzyjające okoliczności, już im na pięty następuje.

I w tem położeniu, dzięki wewnętrznemu bezładowi i rozprężeniu znaleźliśmy się w tej chwili i byliśmy zmuszeni prosić sprzymierzeńców o pomoc, którą, nie wiemy jeszcze nawet jakiemi nam przyjdzie opłacić wysiłkami i poniżeniem.

Czy gabinet lewicowy byłby lepszy?... Na to trudno odpowiedzieć, ale to pewna, że temu znów wypowiedziałaby wojnę prawica, bo tylko między rękami jest zgoda, między zaś prawicą a lewicą w parlamencie brak jej. Zresztą tu chodzi o „branie“, co dla obu jest zasadą i jedna jest bardzo ciekawą, co się też drugiej dostało.

Zresztą stronnictwa lewicowe tyle już przeprowadziły w Sejmie uchwał, nie przynoszących pożytku, ale wprost wyrządzających społeczeństwu szkodę, że nie należy wątpić, iż, znalazłszy się u steru rządów, postępowałyby dalej konsekwentnie w ten sposób. Posłowie zbyt zważają na to, aby się nie narażać swym wyborcom i schlebiają im aby sobie nadal zapewnić ich poparcie. Zapominają jednak o tem, że mają do czynienia z nieuświadomionemi politycznie warstwami, które tłómaczą sobie wszystko tak, jak im z tem wygodniej. Przekonali się o tem i socyaliści, autorowie i inicyatorowie ustaw mających na celu ochronę sfer pracujących. Pokazało się, że zbyt ścisłe ich stosowanie cały ogół a z nim razem i socyalistów narazi na szkodę, bo, jak słusznie zauważono i zamiatacz ulicy będzie „urzędował“ tylko od ósmej do dwunastej i od trzeciej do siódmej to jest w porze, kiedy reszta ludności rada byłaby łykać świeże powietrze a nie kurz.

Nie partyjnych nam zatem gabinetów i rządów trzeba, ile złożonych z ludzi, którzy myślą i czują po polsku, a owiani są szczerą chęcią pracy dla dobra ogółu. Czy taki pan nosi na grzbiecie surdut, bluzę czy sukmanę, to mniejsza, grunt, aby one kryły prawdziwie polskie serce. Tylko taki gabinet może zyskać ogólne poparcie i zaufanie, z takim będzie się musiała liczyć i zagranica, widząc, że za nim stoi cały naród, a nie jedno lub choćby i kilka stronnictw.

Salus Republicae suprema lex esto — oto dewiza, którą powinny mieć na celu tak jednostki, jak stronnictwa i cały ogół, a dopiero wtedy będzie lepiej, niż jest dotąd!

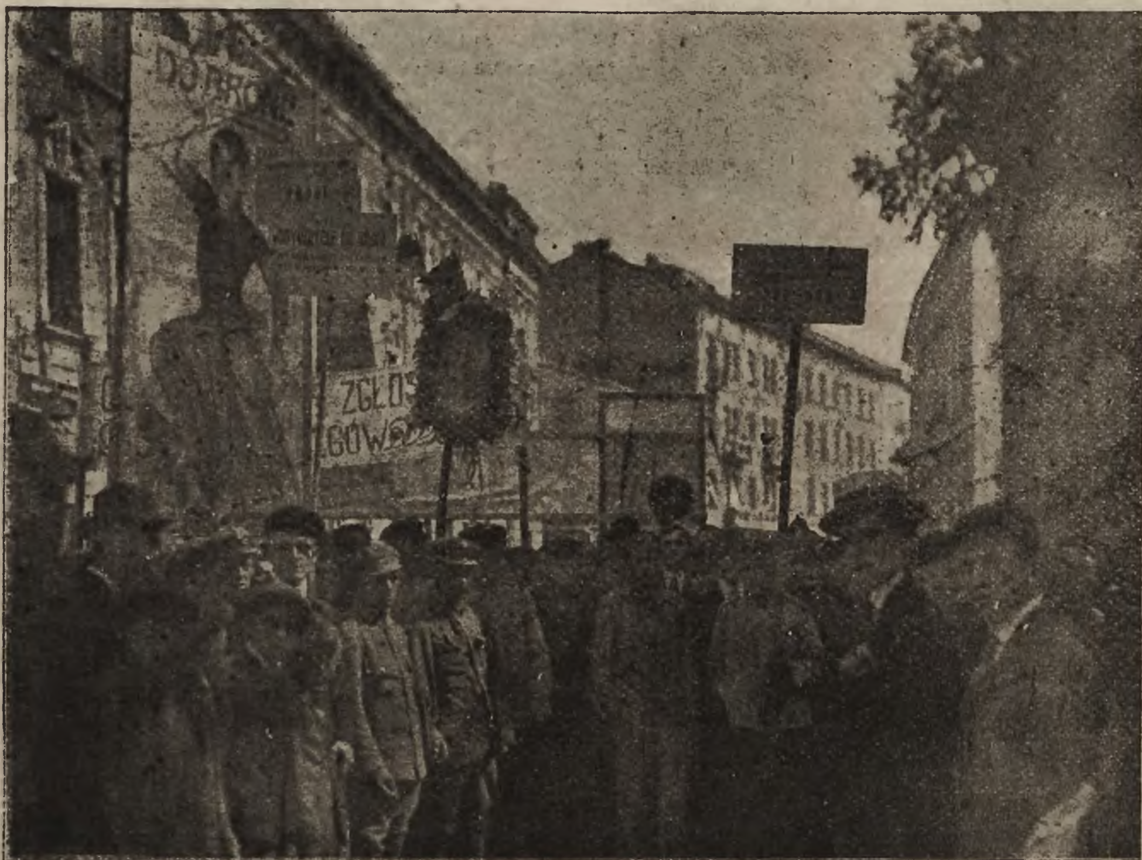




Z wschodniego frontu:

Sztab artyleryi poznańskiej przed wyjazdem na front bolszewicki.

Nasza dzielna artylerya na pozycyi



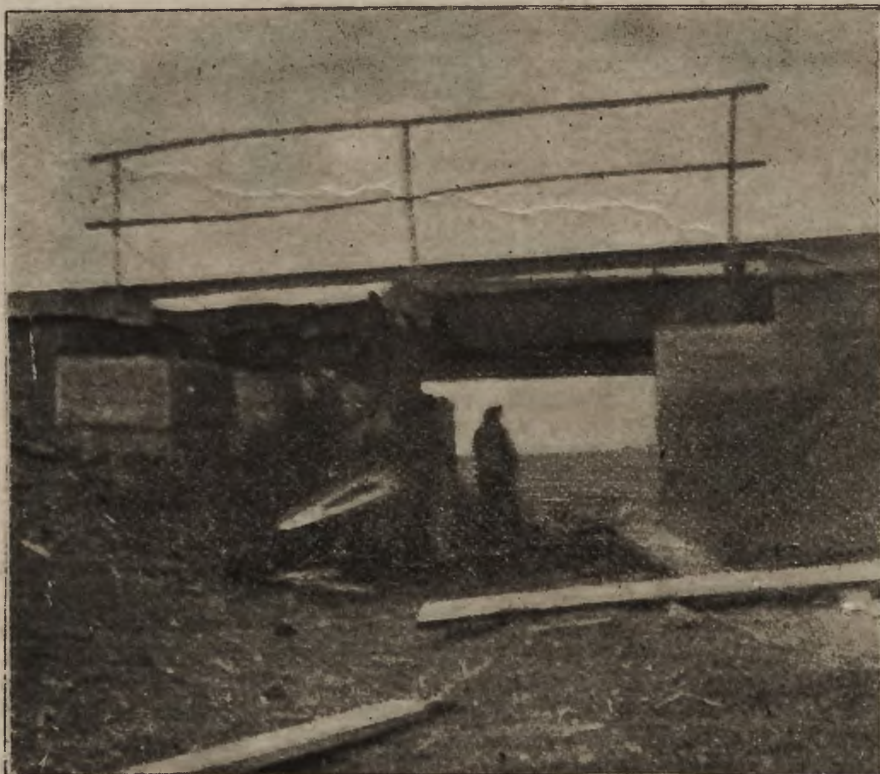
Agitacya werbunkowa w Krakowie: Pochód agitacyjny urządzony przez inwalidów w ulicy Zwierzynieckiej.

Z wschodniego frontu.

Jak wiadomo, prezydent ministrów Grabski, interweniował w Spaa u przedstawicieli Koalicyi w sprawie pomocy dla Polski w walce z bolszewikami. Lloyd George przyobiecał wdrożyć kroki celem doprowadzenia między państwami do zawarcia rozejmu, ewentualnie zaś rozpoczęcia rokowań pokowych i w tym celu poczynił starania u rządu sowieckiego, który miał się zgodzić na propozycyę.

Nie wpłynęło to jednak bynajmniej na osłabienie akcyi bojowej na wschodnim froncie. Toczy się ona na całej jego długości z większem może nawet nasileniem, niż to było poprzednio. Choć liczebnie daleko słabsza i pozbawiona najniezbędniejszego materyału wojennego, stawia nasza dzielna armia mężnie czoło najeźdźcy. Względy strategiczne zmusiły dowództwo nasze do cofania się z poprzednio zajmowanych pozycyj, czego przecież nie można uważać za przegraną jedynie za krok, podyktowany względami ostrożności, zwłaszcza, jeśli się zważy, że mamy przed sobą wroga, nie liczącego się z materyałem ludzkim, a zaopatrzonego we wszystko bardzo obficie i to przez tę samą Koalicyę, która każe Polsce stać na straży swego bezpieczeństwa i spokoju. Przed kilku dniami czytaliśmy, że do portu rewelskiego przybył angielski okręt z bronią i amunicyą dla bolszewików, o ile zaś chodzi o zaopatrzenie w nią Polski, angielscy robotnicy odmawiają współpracy przy jej ładowaniu na okręty.

Bolszewickie hordy pędzi do boju terror, naszej armii dodaje sił do oporu przeświadczenie, że tu idzie o obronę granic i całości państwa, nic też





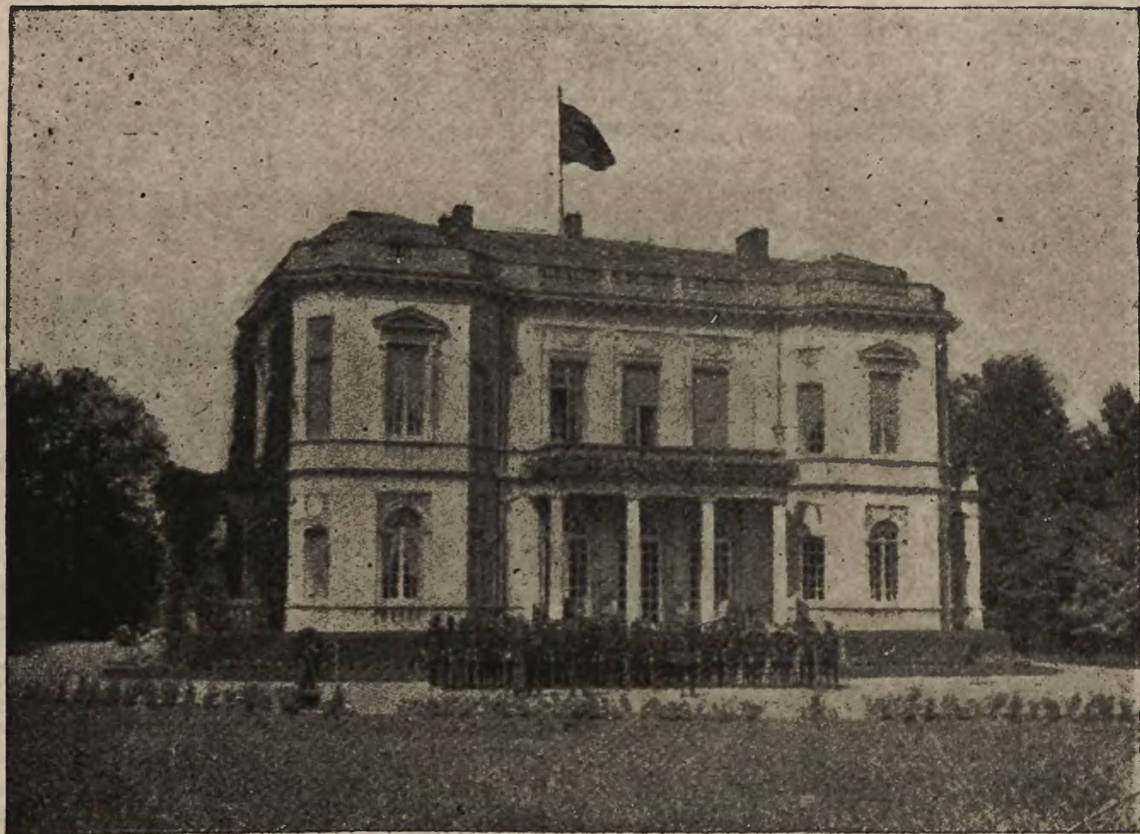
Z wschodniego frontu:

Budowa mostku kolejowego uszkodzonego przez cofających się bolszewików.

Pociąg pancerny przed wyjazdem na pozycyę.

dziwnego, że opiera się mężnie liczebnej przewadze i zyskuje uznanie nawet u wrogów.

Chwilowe niepowodzenie, wywołane zbiegiem fatalnych okoliczności, nie powinno odbierać nadziei, że przecież słuszna sprawa zwycięży, bo my nie wyciągamy ręki po cudze, bronimy tylko tego, co się nam słusznie należy.



Po konferencyi w Spaa; Fasada od strony parku pałacu, w którym odbywały się obrady konferencyi.

Aż do chwili zawarcia pokoju wytrwa nasz żołnierz mężnie na posterunku, bo tylko wtedy pokój ten może być honorowym, a nie upokarzającym.

Na ogół duch na naszym froncie panuje jak najlepszy, społeczeństwo powinno dołożyć starań, aby wojsku nie zbywało na niczem i aby szeregi jego wzmocnić nowymi zaciągami.

Agitacya werbunkowa w Krakowie.

Losy naszej Ojczyzny ważą się. W tej przełomowej chwili, która może być rozstrzygającą dla naszego bytu samodzielnego i naszej przyszłości, padło teraz hasło, że obowiązkiem każdego prawego Polaka jest oddać się niepodzielnie na służbę Macierzy, złożyć na Jej ołtarzu ofiarę swego życia i mienia!

Gdy na wschodnich kresach wre zacięta walka, grożąca nam zagładą, gdy na Zachodzie czyha chytry wróg, czekając tylko na sposobność, by nam zadać cios śmiertelny, a i wróg wewnętrzny nie śpi, każdy obywatel kraju powinien pospieszyć w szeregi, aby wzmocnić obronę granic i dopomódz do zaprowadzenia wewnętrznego ładu i porządku. Do tego obowiązani są wszyscy, tak mężczyźni jak i kobiety.

Mężczyźni do lat czterdziestu dwu, zdatni do noszenia broni, mają zasilić szeregi armi czynnej, starsi i mniej nadający się do służby frontowej utworzyć gwardyę obywatelską, przeznaczoną do zastąpienia wojska wewnątrz kraju, kobiety do służby pomocniczej.

Aby mieszkańców miasta Krakowa zachęcić do zgłaszania się do pełnienia powinności wojskowej, urządzono w naszem mieście w dniu 18 lipca pochód werbunkowy przy dźwiękach orkiestry.

Niejako wstępem do niego była grupa, niosąca manekina, w pięknem, sportowem ubraniu, z napisem na froncie: Tchórz! z tyłu zaś: Ja się boję!.. Odwiedzono z nim liczne lokale publiczne, szczególniej kawiarnie, gdzie gromadzą się ci, którzy wolą zbijać w mieście bruki, niż spieszyć na wezwanie Ojczyzny. Był to dla nich pewnego rodzaju wyrzut sumienia, wynosili się też chyłkiem.

W licznym pochodzie, który posuwał się ulicami miasta, niesiono liczne napisy i transparenty, była grupa inwalidów wojskowych bez rąk i nóg, niosła tablicę z napisem: Jeśli wy nie pójdziecie, my za was pójdziemy!

Na Rynku, pod specyalnym namiotem urządzono biuro werbunkowe, gdzie przyjmowano zgłoszenia, powiatowe stałe biuro tego rodzaju znajduje się w lokalu gimnazyum św. Anny przy placu Groble. Zgłoszenia napływają, lecz nie są tak liczne, jak należałoby się spodziewać. Zwłaszcza „neutralni“ nawet obowiązani do zgłaszania się do przeglądu, manifestują ostentacyjnie swą „neutralność“.

Celem obudzenia tem żywszego ruchu w tym kierunku, chwycono się bardzo dowcipnego środka. Ogłoszono mianowicie, że żaden mężczyzna nie otrzyma w sierpniu przydziału tytoniowego, o ile nie wykaże się, że uczynił zadość wezwaniu Ojczyzny, będącej w niebezpieczeństwie!

Pozatem zarząd miejskich plantacyi urządził niedaleko teatru klomb kwiatowy z napisem: Do broni! — a w niedzielę Komitet werbunkowy poumieszczał przed kawiarniami napisy: Plantacye dla dzieci — wasze miejsce na froncie!

Niechaj zatem spieszy do Biura werbunkowego, kto tego dotąd nie uczynił, bo *periculum in mora!* Na zbijanie bruków i wycieranie katów po kawiarniach i restauracyach znajdzie się dość czasu, gdy stosunki wrócą na normalne tory.

Z przechadzki po Toruniu.

Gdyby kto przed laty dziesięciu powiedział był Niemcowi „nasz Polski Toruń“, byłby on mu się w oczy roześmiał, oświadczając, że to miasto odwiecznie niemieckie, że Kopernik był także Niemcem, a Polacy mogą się raz na zawsze wyrzec swych niedorzecznych nazwisk.

Jednak stało się inaczej!.. Napór Niemców ku Wschodowi, datujący się od wieków, a rosnący w siłę z roku na rok, dopiero w pięćset lat po Grunwaldzie natrafił na silną zaporę.

I stało się, czego żaden Niemiec nie przypuszczał nawet, że „niemiecki“ Toruń jest dziś polskim, a nawet ci, którzy do niedawna uważali się za Niemców, przypomnieli sobie, że są Polakami!

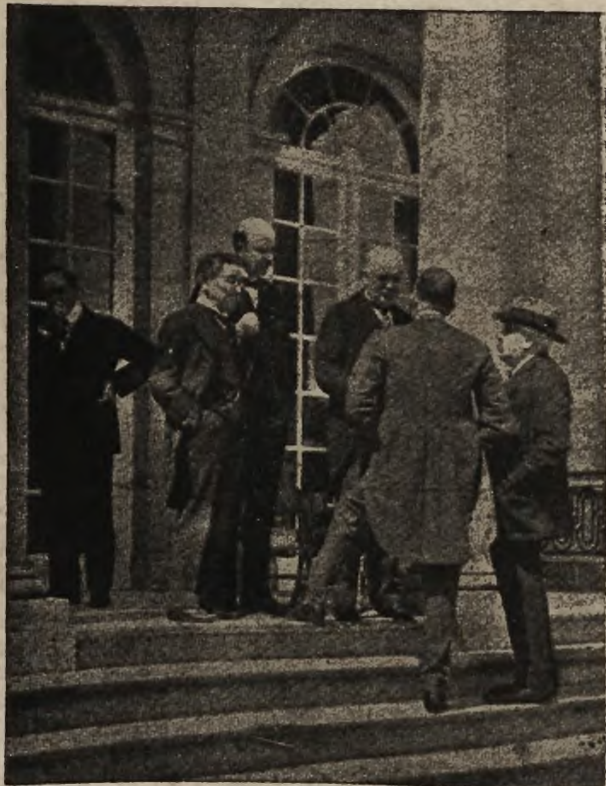
Trzeba było lat całych, aby Toruń i Pomorze bodaj częściowo zgermanizować, powrót do dawnego stanu nastąpi, da Bóg, szybciej. Już dziś na ulicach Torunia słyszy się tylko wyjątkowo niemiecki szwargot, w krótkim czasie zniknie zupełnie.

Królowa rzek polskich, Wisła, płynąc koło murów Torunia, toczy dziś swe srebrne fale jakoś weselej i swobodniej, jakby czuła, że tej ziemi nikt już nie śmie powiedzieć, że nie jest polską.

A pamięta Toruń dawne, lepsze czasy, jednym zaś z ich świadków, prócz miejskich budynków, to



Po konferencyi w Spaa: Delegaci Niemiec biorący udział w konferencyi. Od prawej ku lewej ręce stoją: Wirth (x), Fehrenbach (xx), Simons (xxx).



Po konferencyi w Spaa: Lloyd George, M. Millerand i hr. Sforza przed pierwszem posiedzeniem w d. 5 lipca.

miejski ogród spacerowy Kępa bazarowa, o którym już w wieku XVI wspomina Klonowicz w swym „Flisie".

Położona na lewym brzegu Wisły przedstawia się nader malowniczo, a tak po naszemu, że kto na nią rzuci okiem, musi powiedzieć, że to ziemia polska! Ludzi można z czasem zmienić, dzieła ich umysłu i rąk przeinaczyć, ale przyrodzie nikt jej rodzimego charakteru odebrać nie potrafi.

Ale oprócz tego dobroczynnego działania nosi też „Kępa bazarowa" na sobie i ślady gniewu Wisły. Widocznie gniewały ją postępy niemczyzny na tej polskiej ziemi.

Tymi śladami są znaki na korze drzew nadbrzeżnych, pozostałe od tarcia kry lodowej podczas wiosennych roztopów.

„Kępa bazarowa" to ulubione miejsce spaceru w każdej porze roku dla mieszkańców Torunia,



Z przechadzki po Toruniu: Jedna z alei spacerowych „Kępy Bazarowej".

I takiego Niemca, który twierdzi, że Toruń jest niemiecki, wystarczy zaprowadzić na „Kępę bazarową" i pokazać mu te wspaniałe topole nadwiślańskie, te sympatyczne nasze wierzby, które rozsiadły się na brzegu i jakby ze sobą gwarzyły o przeszłości i uroczą roślinność, właściwą dorzeczu górnej i środkowej Wisły, a musi przyznać, że to przecież kraj polski, a on tu tylko gościem i do tego niepotrzebnym!

W samej rzeczy „Kępa bazarowa" w Toruniu to ciekawy zakątek pod względem flory, zupełnie obcej tym okolicom. Łatwo to się zrozumie, jeśli się zważy, że powstanie swoje zawdzięcza ona sąsiadującej z nią Wiśle, która od wieków pracuje nad jej tworzeniem i uposażeniem, znosząc z całej



Ceny spadają .. za granicą: Sklep z tanimi kapeluszami w Nowym Jorku.

Polski namuł, a z nim i nasiona najróżnorodniejszych roślin, jakie spotykamy w najodleglejszych okolicach Polski, n. p. w Karpatach, szare i czarne olchy, rodzaje storczyków, słowem botaniczne osobliwości, zdolne zainteresować zwłaszcza przyrodników.

szukających tu wypoczynku i wytchnienia. Prawdziwą ozdobą tego naturalnego, bo przez nikogo nie zakładanego parku są zwłaszcza wspaniałe nadwiślańskie topole, kolosalnych rozmiarów o nad wyraz bujnem rozgałęzieniu, poczynającym się nieraz tuż przy samej ziemi. Wiek ich obliczają na setki lat, a pod niejednem z nich spoczywał może nasz rycerz, wracając do domu z potrzeby grunwaldzkiej. Gałęzie ich to ulubione miejsce zabawy młodzieży, nie zdającej sobie może sprawy, że są to żywe pomniki naszej przeszłości, stwierdzające, że to nasza ziemia i że mamy do niej prawa.

„Kępa bazarowa" to prawdziwa ozdoba miasta i przedmiot zachwytu i dumy każdego mieszkańca. Opisał ją także przebywający tu przed laty Przybyszewski w swym romansie „Dzień sądu", rozgrywającym się na tle tutejszych stosunków.

Ceny spadają... za granicą

W każdym niemal numerze naszych pism codziennych, czyta się pocieszające wiadomości o spadku cen za granicą i wezwania, aby publiczność zatrzymała się od zakupów, to tylko w ten sposób zmusi się naszych kupców i przemysłowców do powrotu do normalnych stosunków.

Tego rodzaju nawoływania mogą i powinny odnieść skutek w każdem innem społeczeństwie, tylko nie w naszem, gdzie podbijanie cen przez samych konsumentów jest stale na porządku dziennym. W Ameryce lub w Anglii może sobie ludność na coś podobnego pozwolić. Kraje te przez wojnę bezpośrednio nic nie ucierpiały, owszem nażykały się tyle złota, że dziś nie wiedzą co z nim począć. Ale ludność nasza, dzięki wojnie pozbawiana wszystkiego, musi się starać o zaspokojenie bodaj najpierwszych potrzeb, a w tym wypadku nasi milionerzy wojenni są podbijaczami cen, nie potrzebując się liczyć z groszem, a bacząc stale na to, aby mu niczego nie brakło. Niech kosztuje co chce — oto dewiza każdego z nich — byle było!

Zresztą wchodzi tu w grę i mała wartość naszej monety. Amerykanin, który przywozi ze sobą do Polski portfel należycie wyładowany dolarami, nie może się nachwalić, jak u nas tanio. Zacenią mu za coś dziesięć tysięcy marek, on wyjmie z kieszeni... pięćdziesiąt dolarów i jeszcze mu się kłaniają! Podobnie ma się rzecz z każdą inną walutą, nic też dziwnego, że oficerowie koalicyjni zakupują u nas wszystko, co im wpadnie w rękę, płacą ile kupiec zażąda i wywożą za granicę, zadowoleni, że na tem zrobili dobry interes.

Dopóki więc nasza waluta się nie wzmocni, niema mowy o spadku cen.

Na razie cieszymy się więc tylko nadzieją, że i do nas napłynie „fala taniości" idąca od Ameryki i Anglii. W Nowym Jorku można kupić porządny kapelusz słomiany za siedemdziesiąt pięć centów amerykańskich (na naszą walutę prawie... dwieście marek), nie brak tam mięsa i innych artykułów spożywczych, bo się je nawet masowo wywozi za morze, ściąga się też za nie korony i marki, a im ich będzie więcej, tem lepiej. Od takiego przybytku głowa nie boli.

I nic też dziwnego, że do obniżania naszej waluty przykładają rękę spekulanci zagraniczni, robiąc na tem kolosalne interesy. Gdy odpowiednia ilość marek i koron znajdzie się w ich kieszeniach, dołożą starań, aby one poszły w górę, ale my tego chyba nie doczekamy, zwłaszcza jeżeli się będziemy chcieli wstrzymać od zakupów.

Nie należy się zatem łudzić, że choć ceny za granicą spadają, powtórzy się to i w Polsce. U nas może potanieć to i owo, ale do ogólnej redukcyi cen, zwłaszcza zaś artykułów pierwszej potrzeby tak łatwo nie przyjdzie.



Ceny spadają .. za granicą: Transport nierogacizny przeznaczonej dla Europy w porcie nowojorskim.

Patryotyzm ludu ślązkiego godny naśladowania.

Na zgromadzeniu ludowem w Cieszynie dn. 17 Lipca r. b. podpisali chłopi ślązcy na pożyczkę Odrodzenia 1 600.000 mk., w czem wójt w Zebrzydowicach Rudolf Kolaczek podpisał 1 miljon mk.

Młodzież Ślązka idzie licznie na front bolszewicki. Ślązk Cieszyński zbiera na pożyczkę 200 miljonów mk. czyli prawie 1 miljon na głowę.

Ten ofiarny patrjotyzm ludu ślązkiego winien znaleźć oddźwięk w szerokich masach Małopolski i pobudzić je do ofiarności dla Ojczyzny.

Niech żyje lud ślązki!

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. M. Sosnowiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą apel do obywateli naszego kraju:

— ota
— pis
— oga
— łan
— ama
— ila
— ard
— wad
— ena
— yna
— ola
— ork
— ima
— uma
— bbs
— ena
— mar
— oła

Przysłowiówka.

Ułożył R. Kotowicz, Warszawa.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) --a-e----u-y---ie--i-e----
2) -o--o-a-o-o-u-.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Patryota z Krakowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda hasło rozbrzmiewające dziś po całej Polsce:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy, 2. Miasteczko w Polsce, 3. Narzędzie rolnika, 4. Część dnia, 5. Część ciała, 6. Litera grecka, 7. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. Kowalski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
a, a, k, l,
l, m, m, o,
o, r, r, z.

Znaczenie wyrazów: 1. Francuski powieściopisarz, 2. Nazwisko jednego z kalifów, 3. Zwierzę ssące, 4. Napój wyskokowy.

Okienko.

Ułożył O. Zagłoba, Czehryn.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	i	k
ł		ł	o
o	r	r	s
s		t	t
u	u	w	ż	z

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce, 2. Narodowość europejska, 3. Imię męskie.

Zagadka literacka.

Ułożył J. Gałecki, Lublin.

Początkowe litery tytułów utworów, wyszłych z pod pióra podanych pisarzy, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego ministra.

Kraszewski ?
Słowacki ?
Sienkiewicz ?
Krasiński ?
Prus ?
Słowacki ?
Jeż ?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X. Y., Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Cienko, łodzie, lichwa.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. K., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

c, d, e, i, i. l, m, m, p, r, o, y, y, z, z, ż.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Rodziewiczówny: „Między ustami a brzegiem puharu“ (powieść), 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 28.

Logogryf: W, era, dom, Kasp, kły, Sas, w.

Zadanie do uzupełnienia: Bór, eda, Uri, lis, Odo, gil, Noe, Ems, Sas, Ufa, Rej, mól, Ewa, róg.

Zgłoskówka: Rada Obrony Państwa.

Trójkąt magiczny: Krassin, Rawicz, Artur, Sola, Sem, If, n.

Łamigłówka literacka:

„Jeszcze jeden, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska,
Oto tu stoi kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska!“

(A. Mickiewicz: „Pani Twardowska“).

Grzebieniówka: Para, a, rota, a, Lena, i, Puck, e, mora, e, Numa, o, Nisz.

Zagadka kwadratowa: Soła, Apis, Kras, Etna.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Bielski Stanisławów, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl, K. Fijałkowski Kraków, J. Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławów, M. Bilińska Kołomyja, J. Mroczek Stanisławów, H. Waligórski Tarnów, B. Lewicki Jasło, K. Radziszewski Warszawa, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Kraków, T. Ostrowski Kraków, S. Rosenbaum Rzeszów, S. Krzyżanowski Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, K. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Warszawa, M. Żak Kraków, M. Sawicka Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów, J. Opolski Stanisławów, J. Drzewicki Warszawa, M. Wikliński Kraków, E. Müller Warszawa, H. Frasiński Bochnia, J. Zawadzki Kraków, H. Gruszczyński Tarnów, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, M. Stachowicz Kraków, H. Unger Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, M. Kuczyńska Kraków, J. Kalinowski Warszawa, Z. Nowak Bochnia.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) E. Müller Warszawa (książka), 2) M. Kotowicz Kraków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.